NUMER 49. DNIA 7-go GRUDNIA 1902 ROKU ROK X

# TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

## Z literatury nowogreckiej

Dimitrios Wikelas.*)

## POP NARCYZ

Przekład przez I. Z. A.

I.

— Popadjo! rzekł pop Narcyz, żegnając się krzyżem świętym po skończonym obiedzie. Chce mi się zdrzemnąć! Jeżeli pozwolisz, to się położę.

— Połóż się, połóż się, popie. Takeś się dziś zmęczył, że zasługujesz na to, abyś sobie odpoczął. Tembardziej, że przy takim upale zapewne nikt nie przyjdzie, aby cię obudzić.

*) Jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy nowogreckich, urodził się na wyspie Syra w 1835 roku, nauki pobierał w Paryżu i Londynie; w 1862 r. wystąpił z pierwszemi swemi poezjami nowogreckiemi. Następnie wzbogacił literaturę nowogrecką tłumaczeniami dramatów Szekspira i Odyssei Homera, lecz to, co ustaliło sławę jego, były to powieści i opowiadania na tle tematów narodowych osnute. Opisowość w dziełach Wikelasa stoi na drugim planie, a główną ich treścią jest studjum wewnętrzne swych bohaterów, dramaty odgrywające się w ich duszach.

Najgłówniejszą powieścią Wikelasa jest „*Lukis Laras*“; osnuta ona jest na tle wypadków poprzedzających wyswobodzenie Grecji a przetłumaczoną została na różne europejskie języki.

Z licznych opowiadań, które się także cieszą europejską sławą, podajemy tu jedno z najwybitniejszych.

I popadja zaczęła sprzątać z małego niskiego stołu talerze, łyżki, widelce, aby je umyć przed ustawieniem na półkach, albowiem ten pokój służył zarazem za kuchnię, jadalnię i salon.

Maleńki stolik, na którym spożywali skromny posiłek, cztery krzesła i słomiana sofa, stanowiły całe umeblowanie pokoju.

Sofa stała naprzeciw komina. Nad nią, na ścianie, w czarnych drewnianych ramkach, bez szkła, wisiał pożółkły przez czas obrazek, przedstawiający „Przybycie cesarza Ottona do Babilonu“. W prawym kącie od wschodu znajdowały się drzwi do sypialni, a na lewo drzwi do ogrodu. Pomiędzy dwoma drzwiami stała wielka, zielona skrzynia, pokryta dywanikiem, złożonym we czworo. Ściana nad skrzynią była ubrana innym obrazkiem, bez ram, przybitym tylko gwoździkami. Przedstawiał on widok świątyni na wyspie Tinos. Widocznie była to pamiątka pielgrzymki do tego miejsca, odbytej przez gospodarza domu.

Naprzeciw skrzyni znajdowały się drzwi wchodowe, a po obu stronach drzwi dwa okna z zamkniętemi okienicami. Drzwi wchodowe rozdzie-

lone były w kierunku poziomym, dolna ich część była zamkniętą, górna zaś otwartą, przepuszczając obfite promienie południowego słońca.

Pop Narcyz wstał, a wziąwszy poduszkę z sypialni, ułożył ją na sofie, zamknął górną część drzwi dla chłodu i zmniejszenia światła i ułożył się na sofie. Wkrótce jednak wstał, wziął dywanik ze skrzyni a ułożywszy go na sofie, położył się na nim, popadja zaś w cichości kończyła swoją robotę.

Miał też prawo pop Narcyz odpocząć sobie w ten dzień niedzielny. Już przed świtem był na nogach. Nie miał nikogo do pomocy, ani djaka, ani lektora, sam odczytywał jutrznię, sam odprawiał nabożeństwo w małej wiejskiej cerkiewce. Po odbytem nabożeństwie wraz z sędzią i świadkami musiał się udać pieszo na drugi koniec wyspy dla oznaczenia granic jednej z jego niw, o którą był spór z sąsiadem.

Wprawdzie powrócił zadowolony, bo przyznano jego prawo, lecz droga była daleką a upał nieznośny. Gdy powrócił do domu, czas obiadu już minął a żona lękała się, że jedzenie się zepsuje. Jednakże zgłodniały pop znalazł je wyśmienitem i ku wielkiemu zadowoleniu żony nic na talerzach nie zostawił, co sprawiło prawdopodobnie, że powieki mu ociężały.

Spiekota południa, przyjemnie umiarkowany zmrok w pokoju, wielka cisza, przerywana lekkimi szmerami z zewnątrz i cichem krzątaniem się popadji, ustawiającej na półkach naczynia, znużenie nasyconego popa, miękki kilimek na sofie, to wszystko usposabiało go do snu.

Z przymkniętemi powiekami śledził on ruchy swej młodej małżonki a jasna broda ledwo skrywała uśmiech jego radosny: myślał o tem, że za kilka miesięcy w sypialni ich stanie kołyska. Popadja powiedziała mu o tem w nocy, wstydząc się przyznać do tego we dniu. Gdy spoglądał z czułością sennemi oczyma na swą młodę żonę, którą sobie przedstawiał z dzieciątkiem na ręku, wyobraźnia jego, jakby przez sen, przesuwała mu sceny z przeszłości, które w mglistym i szybkim przebiegu zlewały się z obecnem jego szczęściem.

II.

Zaledwie od trzech miesięcy pop Narcyz zdobył święcenia i żonę. Od dzieciństwa już ubrano go w suknię kapłańską, ponieważ z góry był poświęcony na służbę Boga. Od niepamiętnych czasów w rodzinie matki pierworodni synowie byli poświęcani służbie duchownej, aby obsługiwać cerkiewkę „Nawiedzenia Matki Boskiej“, która była własnością jego rodziny i jako miejsce modlitwy, stanowiła dumę i upiększenie całej wyspy. Lecz zdarzyło się, że poprzednik popa Narcyza, wuj jego, był bezdzietny. Dla tego to, gdy wydawał młodszą siostrę, postawił warunek, że pierwszy jej syn ma zostać kapłanem i jego następcą.

Radość w rodzinie, gdy przyszedł na świat pierwszy chłopiec, przechodziła miarę zwykłej podobnej radości, tak porównawczo poniżającej dla dziewcząt. Jako przyszły kapłan mały Narcyz był traktowany z wielkim szacunkiem, zabawkami jego były różańce i krzyże a pierwsze wyrazy jakie wymówił po t a t a i m a m a, były: „*Kyrie elejson*“. Gdy zaczął chodzić dano mu prawo noszenia lampy podczas nabożeństwa przed wujem. Ten zaznajomił go z czerwonemi literami brewiarza a następnie nauczył czytać na mszale. Wszystko to jednak nie mogło powstrzymać zapału małego Narcyza do zabaw, właściwych dziecinnemu wiekowi, ani go ocalić od szczególnego rodzaju wyświęcania rękami matki, gdy wracał do domu z podartą swą kapłańską suknią, bądź przez wdzieranie się na strome skały, bądź przez walki z rówieśnikami.

Gdy doszedł do lat dwudziestu, młodego kleché został wysłano do obcych, aby przez ciągłe obcowanie z przyszłą swą owczarnią, nie narazić na zbytnią poufałość przyszłego pasterza z swemi owieczkami. W Andros przebywał stary wuj jego matki, niegdyś władyka (biskup) w Salmatunt. Usunął się on z tego stanowiska w zacisze domowe, po zebraniu dostatecznych środków do życia spokojnego i niezależnego. Wysłano więc Narcyza do tego władyki. Ten przyjął go życzliwie i dał mu miejsce i tytuł lektora cerkiewnego. Aby usprawiedliwić tę pierwszą godność w hierarchji duchownej, Narcyz pobierał nauki dalej nie tylko w szkole w Andros, ale i od arcydjakona biskupiego, który najwięcej go wtajemniczał w obrzędy cerkiewne.

Wśród tak sprzyjających okoliczności przygotowywał się Narcyz do stanu duchownego. Minęło lat kilka, z lektora miał być wyświęconym na djakona, gdy nadeszła do Andros wiadomość, że wuj jego umarł a mieszkańcy wyspy zapraszają go do objęcia parafji.

Na popa był jeszcze za młody, ale należało uniknąć, aby to prawo familijne nie przeszło

w obce ręce. Dla tego władyka, chociaż mu ciężko było rozstać się z swoim lektorem i przyszłym djakonem, wysłał go do miejsca rodzinnego, aby sobie znalazł żonę, przed wyświęceniem.

Dla Narcyza nie było to ani nieprzyjemne, ani trudne, gdyż od dawna miał upatrzoną żonę.

Od dzieciństwa bowiem uważał on za nią małą Aretulę. Rodzice pół żartem, pół serjo przystali na te zaręczyny a Narcyz czule się opiekował w zabawach swą małą narzeczoną. Gdy wyjeżdżał do Andros, młodzi narzeczeni przyrzekli czekać na siebie.

Po ośmiu latach nieobecności Narcyz odnalazł Aretulę dorodną i piękną dziewczyną, lecz i jego jasna głowa nie była mniej piękną pod czarną czapeczką lektora. Stary władyka, który towarzyszył nowożeńcowi, wyświęcił swego lektora na djakona i kapłana, poczem wrócił do Andros.

III.

Tak to od trzech miesięcy Narcyz był żonaty, wyświęcony i wszystko szło mu po myśli. Wieśniacy zadowoleni z jego pięknej postawy w cerkwi, z jego dźwięcznego głosu i poważnego postępowania, otaczali go szacunkiem po nad wiek jego; żona obiecywała mu następcę, pola obfite zbiory a cerkiewne dochody wcale były pokaźne. I cóż więcej mógł żądać? A przy tem wszystkiem zadowolenie jego nie było zupełnem: było ono zaciemnione wielkim i ciągłym niepokojem. Pop nawiedza umierających i grzebie umarłych. Ta myśl go męczyła, był to cień chmury, zasłaniającej jasne dnie jego żywota.

Ten strach przed śmiercią wgryzł się w jego duszę od chwili, gdy jako maleńkie dziecko przyprowadzono go dla oddania ostatniego pocałunku na martwych zwłokach jego ojca. Zaprawdę od tego czasu był obecnym na wielu pogrzebach. Zdaleka, w cerkwi między popami często brał udział w tych smutnych obrzędach. Lecz zawsze starannie unikał spojrzenia na umarłego, bądź to patrząc się w lampę, bądź w psałterz, bądź to chowając się po za wyższymi towarzyszami. Nigdy nie śmiał spojrzeć na umarłego w trumnie, nigdy nie uczynił zadość serce rozdzierającemu wezwaniu do oddania ostatniego pocałunku zmarłemu.

Jednakże czyż on może jako kapłan uniknąć w przyszłości wszelkiego zetknięcia z śmiercią? Czuł, że nigdy nie będzie mógł nawyknąć do tego strasznego widoku. Wyspowiadał się ze swego strachu przed władyką, wyznał mu swoją słabość i swoje wahanie; lecz starzec go zburczał, dodał mu odwagi i zapewnił, że z czasem przywyknie do tego, jak i inni popi; starał się natchnąć go odwagą, przedstawiając mu, jak wielkie i święte jest zadanie kapłana przy umierającym. Narcyz dał się przekonać. Przezwyciężył się, ale niebezpieczeństwo nie znikło.

Przez te trzy miesiące, gdy ktokolwiek przyszedł do niego, serce mu się ściskało na myśl, że mu przynosi wieść o śmierci. Dotychczas uniknął tej strasznej próby, lecz zawsze myślał o tem, że lada chwila może ktoś umrzeć na wyspie. Nawet w tej chwili, gdy przed jego przymkniętemi powiekami przesuwały się rozkoszne widzenia, mięszały się z niemi wstrząsające sceny przedśmiertnej spowiedzi. Wkrótce te obrazy powolnie się rozwiały, senne powieki zamknęły się, ręka ciężko opadła na sofę, twarz utonęła w poduszce i w półmroku zacisznego pokoju słychać było tylko równy oddech spiącego popa.

W tej chwili popadja skończyła swoje krzątanie i stąpając na palcach, poszła do sypialni, skąd powróciła z małym węzełkiem. Usiadła na stołeczku, przy wygasłym kominie, rozwiązała węzełek i zaczęła rozkładać robótki wokoło siebie. Były to wzory ubrań dziecięcych. Rozpatrywała je z wielkiem zajęciem, ukrywającem w sobie inne uczucie, jak studjowanie ich form zewnętrznych. Od czasu do czasu spoglądała wzrokiem pełnym miłości i szczęścia na uśpionego męża.

IV.

Nagle ciszę przerwały ciężkie kroki, które się zbliżały. Stąpanie ustało przy drzwiach, których górna część zaskrzypiawszy lekko, otwarła się do połowy. Obfite światło zalało pokój; oddech spiącego zmienił rytm, lecz chrapanie nie ustało; popadja zwróciła się do otwartych drzwi, i palcem na ustach nakazała milczenie.

W oświeconej górnej części drzwi ukazała się głowa i piersi starego wieśniaka. Wyszarzany jego fez był okręcony białą bawełnianą chustką, której końce wisiały na plecach, ochraniając kark od palących promieni słońca. Z pod fezu świeciły żywe oczy, ocienione gęstemi brwiami. Pot kapał mu z czoła po białych wąsach. W prawej ręce trzymał kostur, oparty o ramię a na końcu tegoż wisiał koszyczek pokryty kapuścianymi liśćmi.

Popadja wstała i cichutko zbliżyła się do drzwi.

— Dzień dobry, ojcze Tanasie! szepnęła, pop spi.

— Widzę, odpowiedział starzec, usiłując bezskutecznie szeptać swoim gardłowym głosem. Widzę, ale trzeba go obudzić.

— Co się stało? Dlaczego ci potrzeba?

— Chwała Bogu! mnie go nie potrzeba, ale trędowaty go wzywa.

— Kyrje elejson! trędowaty! powtórzyła popadja.

I odrazu przypomniała sobie lęk swego męża. Sama myśl, że jej mąż rozpocznie swe obowiązki od odwiedzenia trędowatego przeraziła ją, i nie zastanawiała się nad wielką odległością na drugi kraj wyspy przy tak strasznej spiekocie.

— Zdaje mi się, że dni jego już się skończyły.

— Kyrje elejson! powtórzyła popadja, nie znajdując innych słów na wyrażenie swej trwogi i zwróciła niespokojny wzrok ku sofie.

Pop, jak przez sen, słyszał wszystko. Od czasu otwarcia drzwi, przebudził się, lecz zmysły jego były jeszcze przytępione, a w myślach panował chaos. Przez przymknięte powieki widział wpadające światło, słyszał rozmowę żony z Tanasem, słyszał, że trędowaty go wzywa, lecz kiedy usłyszał ostatnie słowa starca i powtórzone „kyrje elejson“ przez swoją żonę, zimny pot go oblał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



# O portrecie dziecięcym.

Mówił we środę w „Związku naukowo-literackim“ p. Adam Cybulski przed bardzo licznie zebraną publicznnścią złożoną w połowie z pań. Rozpoczął prelegent od ogólnego znaczenia dziecka dla malarza portrecisty. Wedle p. Cybulskiego dziecko, jako temat portretowy, to w sztuce jeden z najwdzięczniejszych, lecz zarazem i najtrudniejszych motywów. Czem dziecko jest w życiu o tem pouczyć nas mogliby filozofowie i poeci. Amiel powiedział: „tę odrobinę raju, którą tutaj jeszcze spostrzegamy na ziemi, zawdzięczamy obecności dzieci“. Ale czem dziecko, ta istota efemeryczna, przejściowa a wciąż na nowo wśród nas się odradzająca, jest s a m o w s o b i e — o tem pouczyć nas może jedynie a r t y s t a. W życiu codziennem, w literaturze zarówno, jak w pedagogji, patrzymy na dziecko przedewszystkiem, jako na przyszłego człowieka, malarz natomiast zajmuje się niem takiem tylko, jakie ono jest w danej chwili i widzi w niem jeszcze anioła. Wskutek tego malarstwo jest prawdziwą historjografją dziecka. Badając portret dziecięcy w rozmaitych epokach, możemy sobie wytworzyć nietylko obraz tego, czem istotnie w danej chwili było dziecko, ale i tego, jakie stanowisko zajmowało względem niego dane społeczeństwo.

Sztuka s t a r o ż y t n a o dziecko, jako dziecko, nie troszczyła się wcale i nie pozostawiła nam ani jednego portretu dziecięcego. Dziecko do sztuki wprowadza dopiero c h r z e ś c i j a ń s t w o — pod postacią Dzieciątka Jezus. Ciekawą rzeczą jest, że przez długie wieki właściwe portrety dziecięce w skutek swego charakteru oficjalnego są t y l k o o d m i a n a m i

pewnego sztucznego typu szlachetności i urodzenia wyższego ponad „pospolitą naturę“, podczas gdy w obrazie religijnym w postaci bożego dziecięcia odnajduje się najwierniejszy możliwie obraz współczesnej ludzkości. Po jednej stronie n. p. mamy tu urzędowe portrety mistrzów włoskich — po drugiej ich „Madonny z dzieciątkiem“, „Święte rodziny“, „Adoracje pasterzy“ i t. p. Najtypowszym przedstawicielem pierwszego rodzaju jest Velasquez i jego etykietalne portrety małych infantów i arcyksiążątek. Jedyny wyjątek z reguły stanowią po wszystkie czasy portrety dzieci samych malarzy, jak Rubensa, Cornelisa Vosa, Ostadego i tylu innych. Po za nimi dziecko na ówczesnym portrecie jest wykrygowane, uroczyste i tak, jak było w ówczesnem życiu rodzinnem, samotne.

Dopiero w. XVIII. wprowadza pewną zmianę do potretu dziecięcego. Encyklopedyści głosząc „powrót do natury“ przyczyniają się także do rozbudzenia uczuć rodzinnych i za ich to sprawą malcy na całej ziemi wracają do ówczesnych *interieurów*. Ale tak, jak poprzednio dziecko musiało być na portrecie „wzniosłe“, tak obecnie musi być „czułe“ (Boucher, Greuze, Chardin, Drouais i inni). Podobnie rzecz się ma jeszcze za czasów Restauracji w których znowu odpowiednio do romantycznego, porewolucyjnego ducha czasu, dziecko musi być tragiczne, melancholijne (David, Lawrence, Reynolds). Za przykład typowy posłużyć tu może słynny niewykończony portret „króla Rzymu“ pendzla Lawrence'a. Tak więc z małymi wyjątkami właściwy portret dziecięcy aż do czasów stosunkowo niedanych pozostaje sztuczny, jako postawa, gest i wyraz i nie oddaje nawet w setnej części tego, czem dziecko jest w rzeczywistości.

Wprowadzenie więc do portretu dziecka rzeczywistego, odtworzonego bez żadnego aprjorystycznego zamiaru czy uczucia, jest właściwie dziełem i zasługą w. XIX. To, co poprzednio u Murillów, Halsów, Lawrenców było wyjątkiem i zuchwałością, obecnie staje się zasadą, którą w czyn wprowadza cały szereg mistrzów, wśród których widzimy spory zastęp kobiet: Baskirczewa, Kate Greenway, pni Stanley, pna Rasponi i t. d. Okazuje się, że jedynie tylko obserwacja, pełna miłości i poświęcenia wkraść się zdoła w głąb duszyczki dziecięcej i odkryć jej znamiona charakterystyczne, przejawiające się na zewnątrz specjalną anatomją, postawą, gestami, wyrazem, skrótami i t. d., które u dziecka są czem innem zupełnie, aniżeli u człowieka dorosłego!

Nastają dla dziecka czasy nowe, w życiu zarówno, jak i w sztuce, która jest jego odzwierciedleniem. W portrecie dziecięcym przejawia się to jako wszechstronna prawda i żywa bezpośredniość. Malarz nie dyktuje dziecku póz, które ono ma przybierać na portrecie ale naodwrót dziecko samo portret swój dyktuje malarzowi. Nastał kres wszelkiej sztuczności. Nastąpił początek wszelkiej prawdy. I dziwna rzecz! oto w tej chwili, w której malarze naginają do natury swoje pojęcia portretu dziecięcego — pedagodzy naginać do niej zaczynają swoje pojęcia wychowawcze. Zaczynają bacznie obserwować dziecko, ażeby od niego uczyć się sami. Dziecko jak niegdyś, poucza uczonych w piśmie... Zanosi się na przewrót zupełny w dotychczasowej metodzie wychowawczej. To, co się powiedziało o portrecie dziecięcym w ogólności to przynajmniej w obrębie w. XVIII. i XIX. dotyczy portretu polskiego. Prelegent daje ogólny rzut oka na polski portret dziecięcy (Matejko, Grottger, Pruszkowski, Wyspiański) i kończy zaznaczając, że to, co malarstwo europejskie zrozumiało dopiero tak niedawno, to od wieków już zrozumieli i praktykowali — Japończycy...

Prelekcję swoją uzupełnił p. Cybulski jeszcze obfitą choć utworzoną na prędce galerją reprodukcji najsłynniejszych ze wspomnianych wizerunków dzieci.

# W odpowiedzi na krytykę.

Otrzymujemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie:

„Słowo Polskie“ w dodatku literackim zamieściło obszerną krytykę mojej ostatniej książki: „Współczesne prądy umysłowe i polityczne“. Z powodu braku miejsca nie mogę tu rozpatrywać wszystkich robionych mi zarzutów, tem bardziej, że na niektóre z nich odpowiadałem już poprzednio w artykułach polemicznych z powodu mego szkicu p. t. „Patrjotyzm a nacjonalizm“.

Krytyk mój występuje przeciwko pozytywizmowi i dziwi się, że twierdzę, iż kierunek ten przypadkowo tylko, związany był z programem pracy organicznej. Już w szkicu swoim o pozytywizmie zaznaczyłem, że w Rosji np. łączył się on z prądami opozycyjnymi i rewolucyjnymi; teraz dodam, że nasi stańczycy są zwolennikami pracy organicznej a w kwestjach filozoficznych stają na stanowisku teologiczno-metafizycznem. Przykłady te wystarczą na obronę mej tezy, że pozytywizm nie był związany przyczynowo z programem pracy organicznej. Krytyk mój lekceważy nasz pozytywizm, stanowiska swego nie usprawiedliwia jednak żadnymi rzeczowymi argumentami. Prace naukowe Świętochowskiego, Gumplowicza, Ochorowicza, Chmielowskiego, Smoleńskiego, Radlińskiego, Gosiewskiego, Dicksteina i wielu innych, stanowią w naszym ubogim dorobku umysłowym bardzo poważną pozycję.

Samo już przyswojenie naszej literaturze dzieł głośnych uczonych stanowi wielką zasługę pozytywizmu. Zresztą jeżeli działalność naukową naszych pozytywistów lekceważyć, to spytać wolno, kiedy mieliśmy więcej i wybitniejszych pisarzy, niż w epoce panowania pozytywizmu.

Krytyk mój występuje przeciwko memu pojmowaniu patryotyzmu. Ten ostatni pojmuję jako dążenie do stworzenia warunków, umożliwiających jak największy rozwój narodu we wszystkich sferach działalności ludzkiej. W naszych warunkach obecnych najważniejszem zadaniem patrjotów powinno być usunięcie tych przeszkód politycznych, które tamują rozwój naszego narodu. Dlatego też przywiązuję wielką wagę do zmiany formy rządu w Rosji, co zdaniem mojem byłoby krokiem na drodze do zupełnego wyzwolenia się. Pragnę obalenia absolutyzmu nie dla tego, że dążenie do wolności politycznej w Rosji zasłania mi, jak to sądzi mój krytyk, sprawy polskie; lecz dla tego, że nie widzę możności wielkiego, wszechstronnego i trwałego rozwoju naszej narodowości w zaborze rozyjskim przy absolutyzmie. Zamiast posługiwać się frazesami, oponent mój, chcąc mię zbić, powinienby wykazać, że zdobycie konstytucji z autonomją w Rosji nie ma dla nas ważnego znaczenia, że od akcji w tym kierunku ważniejszą jest praca inna np. w gminie, w spółkach rolniczych i tp.

Autor zarzuca mi, że w pojmowaniu demokratyzmu jestem jednostronny, że niedoceniam działalności w gminie (w Królestwie), pracy nad demokratyzacją obyczajów, samopomocy w różnych sferach życia i tp.

Na to odpowiem: zjawiska te w Galicji i Zaborze pruskim są dziełem innych stronnictw, niż demokratyczno-narodowe, które wśród ludu w prowincjach tych dotychczas nic jeszcze nie zdziałało, lub też bardzo nie wiele. W Królestwie zaś nie widać rezultatów tej szerokiej działalności w gminie, tej rozległej organizacji samopomocy, lub wielkiej demokratyzacji obyczajów. Przy absolutyzmie nie może się rozwinąć ani walka w gminie, ani organizacja samopomocy. Gmina jest igraszką w rękach naczelników powiatowych, rząd nie pozwala na donioślejszą pracę w stowarzyszeniach legalnych, śledząc je bacznie. Oświata ludowa zrobiła pewne postępy, ale działalność narodowej demokracji nie uświadamia ludu pod względem polityczno-społecznym. Wykazując mu, iż rząd go dusi, nie daje mu ona żadnego programu akcji politycznej choćby w przyszłości; pod względem społecznym nie wykazuje chłopu jego upośledzenia materjalnego

wyzysku ekonomicznego. Demokracja narodowa nie propaguje nawet dziś wśród inteligencji, a tem bardziej między ludem demokratycznego światopoglądu. Tam zaś, gdzie może otwarcie żądać reform demokratycznych, w zaborach: pruskim i austrjackim, zupełnie tego nie robi, łącząc się chętnie z konserwatystami.

„Nowa metoda“ myślenia i działania w polityce nie jest dla caratu niebezpieczną.

*L. Kulczycki.*

27)

# Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Do pojęć prostopadłości, związanej z obrazem wbijania i sterczenia pala dołączymy pojęcia i obrazy płaskości pomostu i pala: — „*Balken*“ belka pozioma — (B p pf f). „*Flotz*“ pokład — „*Fleete*“ kanał drzewem wyścielony — „*Flach*“ płaski — „*platt*“ spłaszczony — „*pfad*“ pomost wąski, łączący pokład z ziemią (ścieżka). — „*Pflette*“ belka poprzeczna. „*Flette, Fliede*“ płat — „*Blatt*“ liść „*Pflaster*“ plaster, bruk „*Fleck*“ drobna ograniczona przestrzeń, plama, miejscowość „*Feld*“ pole — „*Flur*“ niwa — „*Floche*“ płatek płótna, kosmyk włosa — „*Fliesen*“ płytki, wykładające podłogę — „*Fletzen*“ płuco, plecy. — Utwory mieszkalne i ku odzieży służące: „*Fleet, Flur*“ przedsionek — *Pfalz* — (star. niem.) *palas* (gotyc.) *pfalanza* (star. gór. niem.) *flehtau* pleść — *Flette, Fliede*, płat płótna — „*Flechse*“ ścięgno, włókno — *Flachs* len. Pojęcia słowne i obrazowe związane z błotem, bagnem, kałużą i poruszaniem się poziomu wody: „*Pfuhl*“ kałuża — „*Fluss*“ rzeka — „*Fluth*“ powódź — „*Fliessen*“ płynąć — „*Floss*“ pletwa — „*Plotz*“ ryba płocica — „*Flittern*“ ocierać się (star. niem. i „Flitarerzen“ stąd „Flitterwochen“ miodowe miesiące) — „*Flattern*“ latać, pływać w powietrzu w wyrazach *Fledermaus*, *Feder*hund.

Życiowe utwory palowców: (Środ. niem.) „*palas, Platz*“ — (star. gór. niem.) „*Pfalanza* pałac — w nim mieszka „*pfalz* graf“, naczelnik jednostki terytorjalno administracyjnej „*pfalz*“. „*Pfalz* graf“ ma prawo sądzić w obrębie „Zaun *pfahl*“, grodu (*pfahl* pal — zaun tyn) — jako „*Pfahl*richter“ Podatek pieniężny, wymierzony „zur Erhaltang einer Deiches“ „*Pfahl*geld“. Wbijanie na pal „*pfählen*“. „*Pfahl*bürger“ mieszkaniec „burgu“ palowego — *Pfahl*burgerland prowinz bewohner“, („was aber pfalburger sind“, kronika z r. 1424 (Grimm słownik) *Pale* (czytaj *pel*) okręg we wschodniej Irlandji, zorganizowany po podboju przez Anyglo Saksonów). Wojować „*ins Feld* ziehen“, co odpowiada polskiemu *polować*. Palenie „*pfahlów*“. — *Pflicht* obowiązek w pracy. — „*Plundern*“ przechodzić wzdłuż rabując. — „*Feste*“ (patrz „Pfosten“) twierdza — „*fest*“ mocno — „*Fessel*“ kłoda, kłonica kajdaniarska, później kajdany — „*Flittern*“ pieścić się — „*Fest*“ zabawa, uroczystość — „*Polster*“ poduszka — „*Pfühl*“ wezgłowie — „*Pfund*“ kawał drzewa jako jednostka w wadze. „*Viel, Viele*“ wielość (ludu *Volk* — bydła *Vieh*). *Voll* pełny — „*Folz*“ pułk — „*Volk*“ plemię — „*Falen*“ nazwa narodu, mieszkającego między Wezerą a Renem, west, i ost *falen* (Palowcy wschodni i zachodni). *Phol* starogermański bóg.

(Prawie wszystkie wyrazy, brzmieniem podobne a obrazem wspólnym związane, odnajdziemy w słownictwie Słowian). Ogniskiem tych palowych budowli dla Niemców była przestrzeń między Wezerą a Renem na północy i południowe Niemcy. Znakomity znawca starożytnictwa Virchów, tak określa działy palowych mieszkań w Europie w pracy o nagłówku „Palowe mieszkania w Inflantach w Aries-see“: „Mieszkania palowe jezior Aries w Inflantach, Arys w Prusach wschodnich należą do żelaznej epoki i nigdy nie namyślam się, aby wschodnio pruskie i inflanckie palowe budowle nie łączyć z naszemi (to jest pomorsko-dolno-niemieckiemi) i całą grupę, która się na staro-słowiańskim i staro-inflanckim gruncie znajduje nazwać **słowiańsko-inflancką** w odróżnieniu od szwajcarsko-połuniowo-niemieckiej, austrjacko-węgierskiej i włoskiej grupy. (Zeit. f. Ethnol. Ver. IX. 433, 435). — Że *pal*, *pfahl* południowo-niemieckich budowli, był ogniskiem „*pfalzów*“ pałaców i „*Pfalz*“ (staro sachs. „*palencea*“) okręgu terytorjalnego, świadczy zachowana do dziś nazwa „*Pfalzu*“ palatynatu prowincji królestwa bawarskiego.

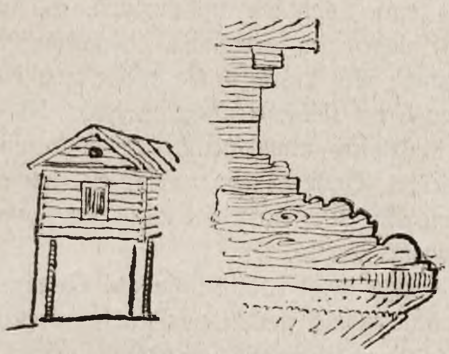
Podstawą każdego domu na palach „są cztery słupy narożne“, które określają tem samem istnienie domu „*Die vier Pfähle*“. Rodzina mieszka „*in ihren vier Pfählen*“. Sachsenspiegel I. 66. określa dom tak „*datt is binnen veer palen*“.

Dowodem dalszym pośrednim znaczenia palów w życiu starych rodów germańskich jest użycie ich w Heraldyce. Figury heraldyczne niemieckie najstarszego typu są ciekawem dalszem potwierdzeniem słuszności mego przypuszczenia. Wśród figur tych, na które pola teraz są podzielone, znajdujemy „pal“ — *pfahl* — belkę poziomą „*Belken*“ — krokwie „Sparren“, ostrokoł „Spitzenschnitt“. Schody na pomost palowy „Stafenschnitt“ — woda pod pomostem „Wellenschrägbalken“ — obłoki nad głowami „Welkenschnitt“, słowem najwięcej oderwane szczegóły życia na palach są odźwierciedlone w powyższych znakach. Zresztą dane historyczne w całości stwierdzają nasze przypuszczenie. Plinius (Hist. nat. XVI. 1.) tak opisuje okolice z nad ujścia Renu i Wezery: „Wątpi człowiek, czy ma przed sobą morze, czy lud. Tam mieszka biedny lud w swoich budach (casis) na wzgórzach, ludzką ręką wzniesionych, byle tylko nie dać się falom pochłonąć. Na wyspie Marken zachowały się domy, wedle tej zasady budowane. Są one z drzewa na zielono, siwo lub czarno pomalowane. Te z nich, które stoją na brzegu pagórków, są na wysokiej podwalinie z palów budowane, która im daje wygląd wielkiej w powietrzu wiszącej klatki“ (Henning Das deutsche Haus 134). „Również w Vollendam znalazł Haward wzniesione na wysokich palach domy, które aż w morze zachodzą i jak na szczudłach stojące wyglądają. (Tamże str. 167,) „Niskie, dołem otwarte domy palowe, istnieją do dziś w Niemczech. (Tamże str. 167). Musiały one podczas poprzednich okresów frankońsko-górnoniemieckiego sposobu budowania być ogólnem zjawiskiem. Pozyskano ciekawe świadectwo, które budowlom na palach przynajmniej tysiąc lat istnienia zapewnia. Już Akwizgrański pałac Karola Wielkiego był według zauważenia mnicha Saugealeusa taką palową budowlą. Również i domy wszystkiej szlachty były nad ziemią wzniesione tak, że pod podłogą ludzie przed deszczem i niepogodą i skwarem słonecznym ukryć się mogli. Z biegiem czasu zamurowano dolną część tych pańskich domów po bokach, co też uczyniono z odpowiednią podłogą domów chłopskich. W ten sposób wyjaśnia się historycznie istnienie podmurowania starych budowli halnych, jakiemi są naprzykład sale cesarskiego pałacu w Gelnhausen i Goslarze (tamże str. 169). Tak więc słusznie twierdzi p. Sesselberg, że sposób budowania słupowo-płatwowego w Niemczech jest tylko jednostronnym dokumentem dawnej formy pierwszego osiadłego życia w nizinnych, moczarowatych częściach dawnej Germanji.

Należy nam obecnie rozpatrzeć dwie gałęzie ludów wschodnio-europejskich a mianowicie Greków i Słowian, ażali i u nich znajdziemy świadectwa kultury palowej. Że na wschodzie i na południu Europy istnieją liczne ślady mieszkań palowych, wiemy o tem z danych, na które jeszcze i w niniejszej pracy kolej przyjdzie. — Natomiast współczesne chaty słowiańskie i prawdopodobnie dawne greckie różniły się zasadniczo od germańskich.

Kiedy w Germanji i w italskich urnach domkowych wątek palowy narożnych czterech słupów wychodzi i ponad podłogę

mieszkań, Grecja i Słowiańszczyzna po nad palami a czasem przy palach zachowuje konstrukcję wieńcową belek poziomo kładzionych i wiązanych na zamek. Paląca się wieś dacka na palach z kolumny Trajana, wyraźnie wskazuje na to poziome układanie belek,



WIZERUNEK 16.
Dom Daków na palach z kolumny Trajana (z lewej strony).
Wieńcowa forma układania belek wraz z wysuwaniem kroksztynowem bierwion z chaty Nieborowskiej w Łowickiem. (Zdob. rękodziel. Gerson), z prawej strony.

Tak więc prócz słupa, kolumny, która w najstarszym doryckim porządku przez brak podstawy wygląda u spodu jak pień odcięty w sylwecie zwierciadłem wody, nie mają Helenowie wątku rzymskiego w swojej architekturze murowanej, jakim jest łuk sklepienny bodaj dlatego, że z chwilą rozwinięcia się kamiennych murowanek, było dość suchego gruntu w Grecji, wykluczającego przedsiębiorstwa osuszające, w rodzaju kloak rzymskich, owych matek półokrągłego sklepienia.

Jak odległa jest przeszłość, w której Grecja południowa miała bagna a z nią i potrzebę mieszkania na palach, wnosić można z tego, że prowincja pelopenezka Argos, która za czasów Homera była już „pragnącą dżdżu“, służyła w bajecznej odległości, jako bagnista kryjówka dla Hydry lerneńskiej, którą Herakles pokonał w ten sposób, że w szyję, z której odrastały wciąż nowe głowy, wbił płonący opalony pal. Ten symbol osuszającego działania słońca i ognia i wbijania palów w gardła źródeł bagiennych, świadczyłby również o tem, że i Grecy mieli swoją palową przeszłość tylko nierównie dawniejszą, niż Germanie i Rzymianie. Niewiele „palowych“ śladów odszukaćby jeszcze można w równinie Tessalskiej, natomiast w dzikszej Macedonji dzisiejszej dotrwały palowe mieszkania aż do historycznych czasów. Widział je Herodot (V. § 16,) i opowiada że „Paeończycy żyją na jeziorze Trasias w domach wspólnych. Domy zaś ich są budowane na bardzo wysokich palach, wbitych w jezioro, na nich są położone deski ze sobą spojone, a dostać się tam można tylko po wąskim moście. Każdy na tych deskach ma chatę z drzwiami nakształt dobrze przymocowanej klapy, która wychodzi na jezioro; dzieci, aby nie wpadały do wody, przywiązuje się sznurami za nogę“. W piątym więc wieku przed Chrystusem istniały w najmniej kulturą dotkniętych miejscowościach Grecji, rzadkie, ale niezaprzeczone ślady mieszkań palowych, które również Hippokrates (op. omnia Edit. Kuhn I. p. 551.) przy Phasis wspomina.

Porównywując klan wyrazów palowych, w Słowiańszczyźnie zachowanych, dojrzymy, że liczbą znacznie przerastają to, co u Rzymian, Greków a nawet Niemców się zachowało. Wnosićby z tego należało, że kultura palowa ludów słowiańskich, rozsiadłych od Elby i jeziora bodeńskiego do Uralu i po Kaukaz, od morza Bałtyckiego po morze Czarne i Macedonję, dłużej trwała, że warunki fizyczne silniej odcisnęły pieczęc swoją na całości życia gospodarczego Słowian.

Wiemy już, że bliscy Słowianom Dakowie mieszkali w chatach palowych za czasów Trajana, czego ślad pozostał w Rumunji, dawnej krainie Daków w postaci budowli palowych wznoszonych dla przechowywania siana.

(C. d. n.)

5)

# Z Epoki legjonów.

Podała JUSTYNA JASTRZĘBSKA.

Przykro mi było dowiedzieć się o słabości J. W. W. M. C. Pana Dobrodzieja. Życzę, żeby tak potrzebne dla kraju zdrowie Jego jak nayprędzej polepszyć się mogło, cieszyć się będę z tego iako prawdziwy Jego przyiaciel, pragnący przekonać go o wysokim i szczerym szacunku, z którym bydź nie przestanę J. W. W. M. C. Pana Dobrodzieja najniższym sługą

Józef Xiąże Poniatowski.

*w Warszawie, 29. kwietnia 180. J. r.*

(brak koperty).

Niemcewicz do Wybickiego:

Jeżeli Niemcewicz sługa Senatu a więcej ieszcze samego Woiewody Wybickiego iest u niego w iakieykolwiek cenie, niech zaś usłucha przełożeń Jego. Sądzi on że Wybicki z swoim charakterem z swemi w Oyczyźnie zasługami większym być powinien, wyższym iest zapewne nad wszystkie zdarzyć mu się mogące uchybienia. Nie uważaniem na nie okazuiesz się godnym siebie, zaklinam więc nie pozbawiay i Senatu i całey publiczności z ukontentowania oglądania siebie. Bądź na sessyi, bądź na obiedzie, zmartwiłbyś dobrego króla, który dał dowody iak Cię szanuje. Winne uszanowanie

J. U. Niemcewicz.

Wybicki do Generała Kosińskiego:

*z Poznania, 9. maja 1809 r.*

List JW. Generała miałem honor odebrać, w którym zapytany zostałem, czyli miasto Poznań opuścić, czyli się w nim ostatecznie bronić nam wypada. Zna Generał sam dokładnie potrzebę zachowania tego punktu komunikacyów nayważniejszych, ale Generał dociekać może najlepiej iakie wziąść wypada położenie militarne do tego zamiaru. To iest, dla czego przez zaufanie iakie mam w Jego talentach militarnych, zechcę się udać do niego dla poznania dokładnie w tym Jego zdania; do którego się stosować, i odpowiedzialność na siebie zechcę przyjąć. Niewiemy 1⁰ czy będziemy attakowani. 2⁰ iaka iest siła nieprzyjaciela. Generał wie naylepiey, jak daleko zaufać można sile naszey i iakie ku iey użyciu przedsięwziąć środki.

Nie mogę więc oddzielnie od Generała ani myśleć, ani radzić. Jeden nas duch od początku ożywiał, ten szczegulniej teraz niech nas wiąże, gdy idzie o interes kraju i honor osobisty nas każdego. Wkrótce będę miał honor Go widzieć zawsze z powinnym szacunkiem

Wybicki.

Adres: JW. Generał Kosiński.

Wybicki do Dąbrowskiego:

*z Poznania, 27. maja 1809 r.*

Kochany Generale! O godzinie drugiej po północy wysłałem do Lipska sztafetę z opisem, iak nieprzyjaciel pierzcha, jak go gonisz. Doniosłem także, że Moskale są w departamencie płockim. Przełożyłem to wszystko, aby królowi pan Breza doniósł, a ten Najjaś. cesarzowi o stanie rzeczy wiadomość przesłał. Niemam Ci nic ważnego Bogu chwała donieść! Dziś Ci wychodzi 50 kawaleryi i 200 piechoty, w poniedziałek strzelcy każę ubierać rekrutów i dziś 12000 assygnowałem na konfekcyą mundurów. Posełam Ci gazety, żebyś, mój Generale, znalazł wszystko, co się Go tycze. Daway nam wiadomości proszę o sobie. Pani Generałowa dziś rano o 3-ciej odjechała do Winney Góry.

Do śmierci najwierniejszy

Wybicki.

EMMA JELEŃSKA

21)

# Z MIŁOŚCI.

„Więc pani przypuszcza“ — zaczął wreszcie po długim namyśle — „pani przypuszcza, że Wanda zawiodła się na mnie? Że chciała więcej... łączności — i nie znalazłszy jej, odsunęła się? Czy tak?“

— „Tak mi się zdaje. Ona jest dumna. Z początku musiała próbować — pan sam to przyznaje — wejść głębiej w życie pana i wzbudzić zaufanie do siebie — a i dla myśli własnych pewnie zrazu szukała w panu powiernika — nieprawdaż? Prawie każda od tego zaczyna. Tylko że inne, nie znalazłszy w mężu tego, czego pragnęły, umieją w ten lub inny sposób obejść się bez niego. Czy to dowód mniejszej miłości, czy samodzielności większej? Nie wiem. Wanda tego nie umiała i nie próbowała zapewne. Ona w swą miłość i swe marzenie włożyła całą duszę — odsunięta, powiedziała sobie: nie — to nie! Zacisnęła zęby — i zamknęła się. Tak ją rozumiem — może się mylę“.

„Musiało to tak być“ — westchnął Karol. „Pani tak dobrze zna ludzi“. Widać, że ja byłem winien“. Zamyślił się, z twarzą ukrytą w dłoniach. „Musiało to tak być, jak pani przypuszcza“, — powtórzył. „Ale jednak — to ciężko — przekonać się, że, życząc komuś najlepiej... zrobiło mu się nieszczęście... Bóg widzi — ja tylko jej szczęścia pragnąłem“...

Wstał i długo chodził po pokoju ze spuszczoną głową. Naraz zatrzymał się przed Julką.

„A pani nie myśli, pani Juljo, że toby się jeszcze dało naprawić?“ — spytał głosem, w którym drżała niepewność i obawa przed jej odpowiedzią.

Ona poczuła się wzruszoną. „Kochany panie“ — odrzekła — „nigdy spróbować nie zaszkodzi. Ona tak pana kochała! nie może pozostać obojętną, gdy zobaczy chęć zbliżenia się. To ją musi pociągnąć. Niech pan spróbuje! Niech pan spróbuje“.

XIV.

I Karol spróbował. Po długim namyśle, po kilku samotnych wieczorach, w których po raz pierwszy w życiu zastanawiał się nad żoną i nad własnem względem niej postępowaniem, postanowił dać jej to, czego ona pragnęła.

Szlachetnie, szczerze, odważnie uznał błąd swój, mimowolny, lecz ciężki — spojrzał w swe położenie. „Prawda, kochałem ją dla siebie. Brałem ją, a nie dawałem wzamian nic, albo prawie nic. A ona to czuła i cierpiała. Prawda, co mówi Julka, więcej się zastanawiamy nad charakterem nowego wierzchowca, niż nad własną żoną. Czy się mnie kiedy śniło zatroszczyć się o jej wrażenia, albo o to, co ona myśli! A przecież — w takiej główce — jak wiele myśli i wrażeń się przewija! To nie dziecko — to człowiek. A my, prawda, że to zawsze traktujemy jak małoletnie. Biedactwo drogie! ona chciała być mi towarzyszką, pomocą w pracy — tak, ona i o pracy nawet marzyła, byle ze mną i dla mnie — spodziewała się, że jej wskażę drogę, że ją ze sobą poprowadzę — i byłaby jak wosk miękki w moich rękach... A ja — cóż zrobiłem?“

Żrąca zgryzota ogarniała go na tę myśl, porywała go rozpacz. Bo czuł, że nieszczęście już się stało. a czy da się naprawić?

— „I to ja wszystkiemu winienem“ — powtarzał sobie wciąż z zaciętościa. „Ja — ja sam. Boże! jakże mogłem tego nie zrozumieć — tego, co taka Julka od razu dostrzegła. Jak teraz robić? Jak ratować? czy nie zapóźno już? czy nie zapóźno?“

W żadne tu tłumaczenie wdawać się nie należało. Przedewszystkiem, dać jej teraz dobrowolnie, narzucić nawet, jeśliby trzeba było, to, o co się dawniej ona starała. Więc każdą myśl swą, każdy zamiar, wszelkie ważniejsze czynności postanowił jej zaraz opowiadać. Męska jego próżność oburzyła się, ale ją poskromił. Jeśli od

tego miało szczęście ich obojga zależeć! „W początkach, gdyby choć trochę z mej strony wysiłku, przyszłoby to tak łatwo! myślał — a teraz, o, jakże mię będą kosztowały te zwierzenia! Ale niema rady — byleby nie było za późno — byleby się ona dała odzyskać na nowo!“

Kilka dni minęło od wyjazdu Julki. Pogoda była prześliczna i Wanda z Lutkiem spędzała większą część popołudnia w ogrodzie. Pod wieczór szli za miasto na daleką przechadzkę. Karol sam w pustem mieszkaniu, przyjmował klientów, przeglądał sprawy, pracował. A w chwilach wolnych rzucał się na sofę, krył twarz w dłonie i pogrążał się w swej zgryzocie. „Co robić? Jak zacząć?“

Jednego wieczora, Wanda z Lutkiem wróciła później niż zwykle. Ciemno już było prawie. Niebo przybrało barwę granatu, tylko na zachodzie paliła się łuna, a od północy szło biało zielonawe światło i wznosiło się coraz wyżej. Rzeka, wązka teraz i cicha, migotała w dole. Karol, zaniepokojony już trochę, z balkonu wodził wzrokiem po ulicy, upatrując w zmroku powracającą parę. Aż ujrzał ich idących. Poznał zdaleka jej jasną suknię i zgrabną, wyniosłą postać. Szła powoli, dźwigając w ramionach wielki pęk kwiatów. Obok Lutek, trzymając jej parasolkę, mówił zwrócony do niej. A ona słuchała i uśmiechała się. „Jak też on ciągle potrzebuje mówić i to zawsze o sobie“ myślał Karol, patrząc na nich zgóry. Egoistyczna słaba, próżniacza natura!“ I bezwiednie przebiegł myślą własne swe życie, tak obfite w czyny, i porównał z życiem Lutka. I serce jego wezbrało dumą, ale zaraz potem znowu zalała je troska. „A może dla kobiety tak jak on byłby lepszym odemnie — dla Wandy nawet. On ma tę miękkość, ten wdzięk, co się im podoba — a przy tem umie tak słodko tyranizować. A kobietom — doprawdy, bodaj że tego potrzeba“. Westchnął. Gdyby był tyranem, egoistą — kto wie, czyby nie był więcej kochanym?

Nie chodziło jednak teraz o folozofję, ale o odzyskanie jej ufności i jej serca. Niezależnie od skutku sam był sobie winien uczynić próbę. Tak, dziś jeszcze spróbuję — rzekł do siebie — pierwszy krok postawię“.

Tymczasem Wanda z Lutkiem wchodzili do domu. Ona szła pierwsza po zaciemnionych wschodach, podtrzymując obu rękami wiązkę polnych kwiatów. On za nią postępował. Śliczny odbyli spacer, daleko wśród lasów i wracali owiani powietrzem szerokich pól i zapachem kwiatów, czarem letniego wieczoru.

— „Jak było dobrze!“ westchnęła Wanda, z nutą żalu w głosie za skończonym dniem. „Jutro znowu tam pójdziemy“ dodała, a gdy on nie odpowiadał, spytała, odwracając się i z góry spoglądając ku niemu; „Dobrze, Lutku“.

C. d. n.



EDMUND LIBAŃSKI.

# Z POSTĘPU TECHNIKI I WYNALAZKÓW.

## Podbój atmosfery.

(Marzenie o locie—skrzydła boskie — legenda o ziemi — kobiety czarodziejki — Próby lotu w starożytności — l'Ovoador (latający człowiek) — technika współczesna lot — czy będziemy latali — prace aeronautyczne – sztuka latania — jak unosi się ptak? — tajemnica lotu — jak unosi się ptak zabity — sztuczne skrzydła — lot człowieka.)

Od zamierzchłych, pogrążonych w niepamięci wieków, rwała się dusza ludzka do błękitnego, złudnego stropu... W najcudniejszych mytach starożytności skrzy się ta gorąca tęsknota do lotu — to marzenie bujania w powietrzu tak, jak ten świat skrzydlaty, kąpiący się na falach słońca, w oceanie powietrza ponad... ziemią.

Po dziś dzień nie przestał człowiek marzyć o locie, jako o najidealniejszym ruchu, — aniołowie i święci, ukochani zmarli unoszą się na boskich skrzydłach, zstępują ku nam z nieba przez ten wszechświat, dzielący padół nasz od wieczności; płyną z błękitów ku ziemi i odlatują, hen...

A człowiek marzy, tęskni i pragnie!.. — pragnie odlecieć, oderwać się od tej matki ziemi, przytrzymującej potęgą swych sił stopy swego pana.

Celem tęsknot „p o d b ó j a t m o s f e r y!.. Tak nazwać go można w zwycięzkim wspaniałym okresie współczesnej techniki.

Starogreecka legenda opowiada jak w Tessalji zła macocha I n o ofiarować chciała J o w i s z o w i H e l l ę i P h r i x o s a.

Uniknęli śmierci przez ucieczkę; odepchnięta matka ich N e p e l a przysłała im byka ze złotem runem; ten uniósł ich wysoko w b ł ę k i t y i przywiódł w daleką krainę *γαια* (gaja) to znaczy ziemię. H e l l a wpadła do morza, które po dziś dzień nosi jej imię... S t r a b o opowiada o pewnej sekcie Kaprobatów (wznoszących się na dymie w powietrze) a kobiety starożynej Tessalji, w kraju najpiękniejszych baśni, miały być wszyskie czarodziejkami. Przy pomocy worów napełnionych dymem zlatywały tajemniczo z świętych gór w doliny.

Gdziekolwiek otworzymy księgi zamierzchłej kultury ludów wschodnich, Persów, Egipcjan, Chin itd. znajdziemy legendy wskazujące, iż prymitywne próby, zbliżone prawdopobnie do nowoczesnych lotów, przy pomocy balonu — próby, uważane nieraz za cuda, uprawiane były na dziesiątki wieków przed naszą erą.

W czasach naszych, ale przed wynalazkiem balonu przez braci Montgolfier zasłynął w roku 1709 Hiszpan Lourenço de G u s m a n, urodzony w brazylijskiej prowincji Santos. Kosz pieciony, wyklejony papierem, to był jego statek powietrzny — pod koszem rozniecono ogień, rozrzedzający powietrze zawarte.

Gdy istotnie aparat ten wzniósł się w górę, ulotne pisemko proponowaało mu podówczas spalenie na stosie — były to straszne czasy inkwizycji, motywowano wyrok tem: że „sztuka taka, gdyby ją ludzie posiedli, wywołałaby w świecie straszliwe rozruchy. Od tego czasu ludzkość trochę zmądrzała; *l' Ovoador* (latajacy człowiek jak nazwano G u s m a n a) nie potrzebowałby się obawiać ciemnoty, zagrażającej życiu; a jednak rozważmy na chwilę czasy obecne...

Ujarzmiono parę, djabełka wrzącego w przykrytym garnku; straszna błyskawica służy pokornie rozwojowi kultury, słowa nasze, płyną drutami wokół ziemi — głos nawet idzie tam, gdzie chcemy na setki mil — rękę ludzką wyręczyły miljardy huczących kół, zamiast hieroglifów, mamy druk pras rotacyjnych — zamiast nieudolnych obrazów na kości, — fotografię mo-

mentalną, sztuki graficzne, ciężkie i drewniane koło ciągnone przez woły, zastąpiły pędzone na skrzydłach pary lokomotywy i wozy salonowe, — wydrążony pień na wodzie przekształcił się w pływający pałac na oceanie, — teleskop otwiera nam olbrzymi wszechświat, — mikroskop tajemniczy świat niewidzialny, a jednak nie znamy olbrzymich obszarów naszej planety, nie wiemy gdzie błądzą śmiali podróżnicy — nie umiemy ich odszukać — na mnóstwo pytań najbliższych, nie mamy odpowiedzi, bo... nie umiemy latać, nie możemy się unosić w powietrzu.

Mimowoli budzi się pytanie — wywołujące często niedowierzający uśmiech, pytanie, czy opanujemy przestwór powietrzny, czy zdołamy porsząć się w tym lotnym oceanie tak, jak na ziemi, jak na wodzie i we wodzie (statki podwodne).

Niedowierzający uśmiech nie odpowiada istotnemu stanowi tej kwestji; a dlaczego, będę starał się objaśnić.

Kwestya lotu, sprawa podboju atmosfery, nie ogranicza się na postępie w konstrukcji balonów lub statków balonowych à la Santos — Dumont, Krebs i Renard, Zeppelliń i. t. p. lecz obejmuje obecnie obszerny zakres badań lotu ptaków, motyli, chrząszczy, zakres pracy w dziedzinie teoretycznej, a dalej wyniki rozlicznych prób z machinami awiatycznemi, z latawcami, spadochronami, nowymi motorami itp.

Technika lotu i jej postęp wyszły już z okresu projektów i coraz liczniej gromadzi się materjał praktyczny — zasób doświadczeń, rokujacych pomyślne rozwiązanie kwestji podboju atmosfery.

Rozwiązano najtrudniejszą zagadkę lotu ptaków; a to pchnęło doświadczenie i teorję w nową obfitą w owocę fazę postępu praktycznej sztuki latania.

Jak unosi się wielki ptak kondor lub n. p. nasz swojski bocian, nie poruszając wcale skrzydeł?

Jak krąży (wedle obserwacji) 15—20 minut w gorze, nim wykona pierwszy ruch skrzydłami?

Inżynier Lilienthal miał aparat z sześcioma olbrzymiemi skrzydłami i mimo intenzywnych wysiłków utrzymać się mógł zaledwo dwie do trzy sekundy w jednej wysokości, prof. Wellner przy swoim „aerostacie“ wywołał szybki ruch skrzydeł przy pomocy machiny o sile 16 koni a nie ruszył jej ani o włos w górę...

Ależ i kondor nie wzniesie się w górę z małej ogrodowej przestrzeni; albatros nie wzleci z pokładu okrętu; a jaskółka również nie podleci z ziemi.

Gdzież więc leży tajemnica lotu?

Wykryły ją ścisłe badania, umiejętne doświadczenia oraz sumienne obserwacje.

Stara formułka lotu brzmiała:

Uderzanie skrzydeł działa pionowo i trzeba tak długo pędzić powietrze w spód z góry na dół, dopóki nie zrównoważy się ciężaru mającego wznieść się w górę; — lotowi sprzyja wiatr.

I projektowano skrzydła, machiny, koła skrzydlate, mające statek dźwignąć do góry, w myśl powyższego poglądu. — Wszystkie te usiłowania spełzły na niczem.

Nowa teorja mówi tak:

Ruch skrzydeł, wiatr, nie są wcale warunkami lotu wielkich ptaków — uderzenie skrzydeł działa poziomo, a nie pionowo, tajemnica lotu polega na ślizganiu się wprzód powierzchni unoszącej się.

Lot ptaków odbywa się automatycznie tak długo, jak ptak ma skrzydła rozpostarte i połączony jest zawsze z ruchem przed siebie.

Mechanika lotu podobną jest mechanice żaglów lawirującego na wodzie statku.

Ciężar ptaka ciśnie skrzydłami w rodzaju spadochronu na dolne warstwy powietrza i to ciśnienie pędzi go wprost tak, jak gdyby był pędzony wiatrem, płynącym od dołu ku skrzydłom.

Ciężar unoszącego się ptaka przekształca się w elastyczne napięcie skrzydeł a pozioma składowa tej siły powoduje powolne zlatywanie przed siebie.

Skonstatowano przy unoszeniu się zabitego ptaka, iż sunąc się 20 metrów wprzód, spadał o jeden meter, ptak więc spadający z wysokości jednego kilometra, jeśli nie czyni żadnego wysiłku, a daje się pędzić ciężarem swym, zleci dopiero 20 kilometrów dalej...

Wniosek z tego jest następujący: na cały korpus ptaka, działa ciężar jego tak, że unosi go na $85^0$ od pionowej linji spadu — jeszcze o $5^0/_0$, a unosiłby się spokojnie w linji poziomej.

I oto tę małą siłę, tych $5^0$ zdobywa ptak nieznacznem trzepotaniem skrzydeł, zmianą środka ciężkości, ruchem steru ogonowego...

Poznanie tej tajemnicy lotu, otworzyło nowe pola dla wynalazców statków powietrznych i kon-

strukcji skrzydeł, które mogłyby unosić człowieka. Pokazało się, iż przekonanie: człowiek i ze skrzydłami nie wzleci w powietrze, bo jest za ciężki — nie wytrzymuje krytyki, bo i ptak nie leci przez siłę ruchu skrzydeł, lecz głównie na mocy swej ciężkości i żaglowego ciśnienia na skrzydła, dopomagając sobie tylko od czasu do czasu małym wysiłkiem steru i skrzydeł.,.

Jak więc przedstawia się postęp techniczny w dziedzinie aparatów skrzydłowych i statków powietrznych, zbudowanych na tej nowej zasadzie?

Pomówimy o tem w następnym artykule, albowiem dziedzina ta obfitą jest w wysoce zajmujące wynalazki, jakoteż praktyczne próby, wiodące krok za krokiem do upragnionego celu: „lotu człowieka“.

# Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Dr. Feliks Koneczny: *Dzieje Polski za Piastów*, st. 408. Książka powyższa jest bardzo obszernym podręcznikiem. Prawdopodobnie ukażą się dalsze tomy, obejmujące dzieje Polski za Jagiellonów i królów elekcyjnych.

Dr. Koneczny w pracy swej uwzględnił najnowszą literaturę monograficzną, dotyczącą epoki piastowskiej. Tę ostatnią dzieli na trzy okresy:

I. Od powstania państwa polskiego do wstąpienia na tron Bolesława Śmiałego, t. j. do 1058 roku. W tym okresie państwo zostało narzucone społeczeństwu.

II. Od wstąpienia na tron Bolesława Śmiałego do napadu Tatarów w 1241 roku. W okresie tym społeczeństwo ubiega się o wpływ na państwo.

III. Od napadu Tatarów do śmierci Kazimierza Wielkiego w 1370 roku. Rozbite w poprzednim okresie państwo, odbudowywa się przez samo społeczeństwo, które drogą walk i świadomej działalności, cel ten osiągnęło. Podział ten niezupełnie odpowiada rzeczywistości. Trudno się dopatrzeć za czasów Bolesława Śmiałego walki społeczeństwa z państwem o wpływ. Autor z tego stanowiska rozpatruje zatarg między biskupem krakowskim a królem. Ale przecież po opuszczeniu kraju przez tego ostatniego stosunek państwa do społeczeństwa nie uległ zasadniczej zmianie. Jeszcze bowiem Krzywousty rządził samowładnie.

Rok 1241 przyjmują za słup pograniczny w dziejach naszych i inni historycy, dość wspomnieć Bobrzyńskiego i Wojciechowskiego; inaczej jednak, aniżeli dr. Koneczny, określają rozpoczynający się od niego okres.

Odbudowanie państwa przez społeczeństwo jest faktem znacznie późniejszym, sięgającym czasów wielkiego ruchu narodowego za Władysława Łokietka. Autor bardzo wyraziście przedstawił życie plemienne przedpaństwowe w Polsce, z wielką dokładnością uwidocznił proces zaludniania się i kolonizacji ziem polskich, oraz stopniowe ich łączenie się. Jakkolwiek dr. Koneczny charakteryzuje okres pierwszy przez narzucenie się państwa społeczeństwu, jednak nie rozumie pzzez to najazdu i powstanie władzy wyprowadza z wzrastającej wciąż władzy naczelnika wojennego w plemienia Polan, pierwotnie obieralnego Na wzrost jego władzy wpływały coraz częstsze wojny.

Autor przyjmuje jako fakt istnienie ustroju rodowego w Polsce; słusznie jednak powstrzymuje się od ryzykownych hypotez, dotyczących jego szczegółów. Szeroko też, nawet może za szeroko, jak na podręcznik, uwzględnia autor stosunki, panujące w państwach ościennych.

Szlachtę wyprowadza dr. Koneczny z dawnych rodowców, włościan zaś z potomków uwalnianych niewolników, obcych kolonistów i tych wszystkich, co straciwszy związek z rodem, oderwali się od niego, zubożeli i stali się najpierw dzierżawcami, a potem uzależniali się coraz bardziej od szlachty i rycerstwa, które to dwie warstwy zlały się potem w jedną. Autor nie uwzględnił faktu, że potomkowie dawnych naczelników plemiennych, medjatyzowanych przez Popielów i Piastów stali się zarodkiem pierwszej naszej magnaterji.

Dr. Koneczny nie wspomniał też o nadaniach osobom świeckim z terytorjów prawem sądu nad ludnością zamieszkującą je. Wprawdzie nie możemy dziś ściśle określić, o ile takie nadania były rozpowszechnione, niezawodny jednak wpływ ich na tworzenie się stanu włościańskiego nie da się zaprzeczyć.

Przebieg wypadków politycznych opisuje autor obszernie, komentując je odpowiednio.

Szczegółowo przedstawił autor ruch narodowy z końca XIII., początku XIV. wieku w Polsce.

Wogóle podręcznik dr. Konecznego jest bardzo dobry wartość jego zmniejsza tylko aż nazbyt wyraźna tendencja klerykalna autora. Klerykalne wszakże fra-

zesy autora są tylko mechanicznie wplecione w tok jego opowiadania, samych zaś faktów autor nie przeinacza. Książkę doktora Konecznego uważamy więc za poważny i pożądany nabytek dla naszej popularnej literatury historycznej. *L. K.*

PISMA. *Wisła,* miesięcznik, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu, tom XVI.. zeszyt 6, listopad - grudzień 1902 r.

Ostatni, kończący rocznik, zeszyt *Wisły* rozpoczyna się zapiskami etnograficznemi M. Wawrzenieckiego „Ze wsi Lelowic“. Są to istotnie luźne notatki, tyczące się nazwisk włościańskich, charakteru, usposobienia, zwyczajów, przesądów i ubiorów chłopskich. — Dokończenie zarysu etnograficznego Z. Staniszewskiej p. t.: „Wieś Studzianki“ obejmuje parę bajek, przysłów, zagadek, całego szeregu pieśni, wśród których przeważają krakowiaki i wzory zdobnictwa ludowego na skrzyniach, miskach, garnkach, dzierzach, trumnie i pisankach. — Z kolei następują „Ucieszne opowiadania z Ciechanowskiego“, zebrane przez J. Milewską. — Dalszy ciąg pracy I. Radlińskiego p. t.: „Apokryfy judaistyczno - chrześćjańskie“ zajmuje się trzema ewangeljami apokryficznemi o śmierci N. P. Marji i księgą o przyjściu na świat Matki Boskiej, oraz o dzieciństwie Pana Jezusa. — J. Talko-Hryncewicz w artykule p. t.: „Słów parę ze stanowiska antropologji w kwestji pochodzenia Słowian“ występuje przeciwko twierdzeniu prof. Potkańskiego, jakoby dawni Słowianie byli długogłowi, a w miejsce tego stawia parę hipotez, mających za sobą bardzo wiele prawdopodobieństwa. — St. Dąbrowska podała szereg „Piosnek“ przy sianożęciu w Żabiu, szkoda tylko, że bez melodji. — Rubryka „Poszukiwań“ tak słaba, jak nigdy, zajmuje 7 (siedm) wierszy druku. Dział recenzyjny również jest bardzo słabo reprezentowany i omawia tylko rzeczy obce. Zeszyt, a zarazem cały rocznik kończą drobiazgi ludoznawcze i różne wiadomości. *Z.*

SZTUKA. *Widoki Vogla.* Znowu jedna polska fortuna magnacka rozsypała się w gruzy. Znowu rozproszyły się po świecie bogate zbiory dzieł sztuki nagromadzone ręką Polaka.

Przed kilku tygodniami zmarł w Paryżu znany amator - malarz i kollekcjoner, hr. Leon Mniszech. Pozostałe po nim zbiory rozsprzedano w drodze sprzedaży publicznej. Szczęście prawdziwe, że ocalała z nich dla nas przynajmniej cząstka, jedna może z najbardziej cennych pod względem historycznym.

Ordynat Adam Krasiński nabył mianowicie do swoich zbiorów i przewiózł do Warszawy: kolekcję złożoną z 68 kartonów, przedstawiających widoki miejscowości, ulic, gmachów i kościołów Warszawy, malowanych z natury akwarelą na schyłku samym panowania Stanisława Augusta.

Twórcą tego cyklu, z którego obecnie kilkanaście okazów w ostatnich zeszytach swoich reprodukują: *Tygodnik ilustrowany* i *Wędrowiec,* był zapomniany już dziś prawie zupełnie ówczesny malarz warszawski Zygmunt Vogel. Pomimo niemieckiego nazwiska Polak rodowity, urodził się Vogel w Warszawie w r. 1764, jako syn oficjalisty ks. Michała Czartoryskiego. Kształcił się w Warszawie, najpierw w budownictwie, następnie w malarstwie, w słynnej „malarni“ królewskiej, prowadzonej przez Bacciarellego. Po powrocie z podróży kaniowskiej, król, który już poprzednio zwrócił uwagę na młodego artystę, polecił mu udać się w strony krakowskie celem zdjęcia widoków celniejszych okolic tej części kraju. W r. 1790 wstępuje Vogel do artylerji konnej, po ostatnim rozbiorze zaś pełnił kolejno obowiązki nauczyciela rysunku naprzód w liceum warszawskiem i korpusie kadetów, później od r. 1817 profesora perspektywy i optyki na wydziale sztuk pięknych ówczesnego uniwersytetu warszawskiego. Umiera Vogel w r. 1826. Spoczywa na cmentarzu ewangielickim. Vogel, zwany przez przyjaciół żartobliwie „Ptaszkiem“, miał po sobie zostawić szereg widoków różnych okolic Polski, wśród tego sto kilkadziesiąt widoków ówczesnej Warszawy. Zdaje się, że widoki te, prócz tych, które obecnie są własnością bibljoteki hr. Krasińskich, zaginęły bezpowrotnie. Te, które ocalały, są przedewszystkiem niezmiernie cennym dokumentem do historji ówczesnej Warszawy, tej Warszawy z końca XVIII. w. tak niepodobnej zupełnie do dzisiejszej, a którą tak bardzo kochać muszą nietylko jej pieśniarze (Gomulicki, Or-Ot), ale wszystkie serca polskie. Pod względem artystycznym rzeczy te odznaczają się tylko wielką starannością i drobiazgowem wykończeniem i posiadać się zdają więcej architektonicznych, aniżeli malarskich zalet. Znać w nich nieunikniony wpływ architektur Canaletta i Kamsetzera, którym jednak pod żadnym względem nie dorównują. Dla historyka Warszawy są to atoli materjały nieocenione, choćby po tem tylko sądząc, co z nich reprodukowały świeżo wspomniane powyżej oba tygodniki. *Tygodnik ilustrowany* mianowicie zamieszcza widoki: ulic Marszałkowskiej i Bielańskiej, szpitala Dzieciątka Jezus i ratusza na Lesznie, *Wędrowiec* zaś widoki: ulic Mazowieckiej, Długiej, Krakowskiego Przedmieścia, ratusza na Grzybowie, Solca i ogrodu miejskiego na Solcu.

Jakże odmienne zupełnie od dzisiejszego oblicza starej Warszawy, patrzącej podówczas właśnie na najstraszniejszą naszych dziejów tragedję!... Spodziewać się należy, że widoki Vogla pojawią się niebawem w komplecie w osobnem wydaniu; wtedy będą stanowiły rzecz u nas w swoim rodzaju jedyną prawie. Bibljoteka Krasińskich na tego rodzaju wydawnictwo w każdym razie pozwolić sobie chyba może. *A. C.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8